Tom V. Nr. 16.

1. Grudnia 1861.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

JAN KAZIMIERZ, KRÓL POLSKI.

II. *Napaść szwedzka i obrona Częstochowy.*

Dobrze to mówią ludzie, że nigdy jedna bieda nie przyjdzie na człowieka, ale za nią zaraz cały ogon innych nieszczęść sypie się jak z rękawa. Owóż i w naszej Ziemi za czasów Jana Kazimierza, nie obeszło się na kozackich buntach, bo jeszcze i tym nie było końca, a jużci Szwed niewiara, miarkując że Polska w domowych swarach musiała zesłabnąć, postanowił sobie drzeć łyko póki się da, i uderzyć na naszych. Jął więc wymyślać różne kruczki, żeby to mieć niby prawo rzucenia się na Polskę, a kto wie czyby to tam nie było się jakoś bez wojny zepchało, gdyby nie taki wypadek:

Był na dworze królewskim we Warszawie pan *Radziejowski* na wysokim urzędzie, a tego król nie bardzo lubił, za różne obmowiska przed ludźmi, i szukał tylko sposobu, żeby się go jak ze dworu pozbyć. No i trafiło się, że ten pan Radziejowski pokłócił się był o coś ze swoja żoną, a tak mocno, że się aż rozjechali on sobie a ona sobie; — zaś król, dowie-

dziawszy się o tem, dalej sobie wodę na swój młyn, i nuż podmawiać panią Radziejowską żeby się z mężem rozwiedła. Owóż z tego to niepotrzebnego wściubiania się króla do małżeńskich swarów, powstały niesłychane gwałty: Radziejowski wpadał publicznie z zbrojnymi pachołkami na dwór swojej żony, chcąc ją sobie odebrać, a żona też znowu zajeżdżała męża, i ta obraza boska skończyła się nareszcie w sądzie, kędy pana Radziejowskiego na garło, a ją na grzywny osądzili. Rozgniewany tem Radziejowski zapomniał zgoła że jest synem tej polskiej Ziemi, i myśli sobie:

— Poczekajcie, wy mię tu sądzicie na utratę życia, a ja wam tu wnet gorącą sprawię łaźnię! — I nic nie mówiąc zabiera się i umyka z Polski, a sunie prosto do szwedzkiego króla. Szwedzi niewierniki, jak już rzekłem, mieli już podonczas dobrą na nas chętkę, więc jak ich zaczął jeszcze Radziejowski podmawiać a podmawiać, tak nie wiele myślący, wydali naszym wojnę, i ruszyli wnet z licznym wojskiem na naszą biedną krainę.

Był podówczas młody król, *Karol Gustaw*, nad Szwedami, więc raźnie szła ta wojna. Weszli oni do Wielkopolski, zabierając wszystko i obsadzając swoimi na imię Karola Gustawa, a Radziejowski szedł też z nimi i tak dogadywał naszym:

— Po co wy się bronicie? Szwedy mocne i odważne, to im nie dacie rady, a król Jan Kazimierz was nie wspomoże, bo człek słabego ducha. Ot, lepiej poddajcie się szwedzkiemu Karolowi, co jest król młody i dzielny, niech on nami króluje, i będzie nam z nim jak w niebie.

Więc na ono gadanie Radziejowskiego, smutno powiedzieć, lecz trafili się tacy, co przechodzili do Szwedów wierząc słowom zwodnika. Alać inni mu na to prawili:

— Idź ty i z swoimi Szwedami do pioruna, żebyś nie wziął po skórze! Jak nami nasz król będzie źle rządzić, to sobie innego obierzemy, ale Szwedów niewierników na karki nam nie trzeba żeby tu rządzili, bośmy tu na własnych śmieciach panami a nie sługami.

Więc i oto zaczęli się bić. A nie było podonczas jeszcze i z Kozakami zupełnie spokojnie, a Moskal także nas z innej strony jął turbować, a książę ze Siedmiogrodu także swoim dworem

Potracili więc wszyscy głowy, a król, zaląkłszy się bardzo, spakował swój dwór czemprędzej i wyjechał na Szląsk, mówiąc: Róbcie sobie co chcecie; a było to wielkim grzechem z jego strony, bo on jako król powinien był do ostatka wytrwać, broniąc kraju i swoich poddanych. No, ale taki to tam i był ten król z cudzego gniazda!

Skoro więc i król porzucił królestwo, tak dopiero ani weź ładu, i nijakiej obrony choć za grosz! Jeden do Szweda inny na Szweda, nikt nie wiedział co robić, a było to jużci na rękę szwedzkiemu królowi, bo szedł sobie jak do tańca, i bardzo łatwo dobywał jedno po drugiem, ogłaszając się prawowitym panem. I wnet też stało się tak, że co nie było zabite lub zwyciężone, to padało na kolana przed Szwedem prosząc o pokój, bo nigdzie sił do obrony, tak że już wszyscy zwątpili, i każdy oczekiwał rychło się dopełni ta miara niedoli.

Atoli, jako jedyna gwiazdka na ciemnych niebiosach co zbłąkanemu żeglarzowi przyświeca: tak i klasztor na Jasnej Górze w *Częstochowie*, przez Szwedów jeszcze nie zajęty, przyświecał resztą nadziei całej polskiej krainie, a utrapieni mieszkańcy klękając zwracali modły swoje do Matki Boskiej Częstochowskiej, królowej i patronce polskiej, oczekując od niej pomocy w swem nieszczęściu. Lecz butny król szwedzki, nazdobywawszy mnóstwo grodów i miast, wnet zajrzał oną gwiazdkę jedyną, a złakomiwszy się na bogactwa klasztorne, wysłał wnet jenerała swego Milera z częścią wojska, nakazując, aby zdobył klasztor Jasnogórski i złupił.

— Nawet ich Matka Boska im nie pomoże! — mówił król szwedzki, niedowiarek — wszystko zdobędę, upokorzę, i muszą mię słuchać jak prawego króla.

Dnia 8 listopada 1655 roku, pod wieczór, księża zakonnicy modlą się gorąco i śpiewają pieśni nabożne w chórze, a gdy skończyli, cichość wielka zaległa klasztor, a na niebie zmrok nocny rozsiadł się już dobrze. Naraz kotły i trąby ozwały się strasznym grzmotem pod samemi murami, i wszystkich ogarnęło przerażenie, bo oto pod klasztorem stanęła już część szwedzkiego wojska, a dowódzca ich Wajchard śle do klasztoru posła z taką mową:

— Mam cztery tysiące wojska; jeżli zechcę to was zaraz dobędę, poddajcie się więc sami szwedzkiemu królowi.

Wysłuchali tej mowy z murów zakonnicy, nie otwierając nawet bramy posłańcowi, i aż na drugi dzień rano wysłali dwóch braciszków do Wajcharda, który był katolikiem, prosząc, aby jako katolik odstąpił przecie od cudownego miejsca, i raczej bronił klasztoru niż napastował. A chytry Wajchard nato:

— Ja też to chcę z przyjaźni dla was, żebyście się poddali, bo nadchodzi za mnę jenerał Miler heretyk, a z tym wam będzie gorzej.

Wrócili braciszkowie do klasztoru, i tu dopiero się rozpoczęła narada, co robić? Było podonczas w klasztorze bardzo wiele szlachty, co się z żonami i dziećmi przed napaścią szwedzką schronili, było też sześćdziesiąt i ośm zakonników, broni, kul i prochu nie brakowało, mury były jakie takie, a na murach gęste armaty. Więc rada w radę, postanowiła załoga klasztorna bronić się jak można do upadłego, i raczej zginąć w obronie Bożej-Rodzicielki, niż obraz Jej cudowny i cały klasztor wydać na świętokradzki rabunek heretyków Szwedów. Kazał też ksiądz przeor powiedzieć Wajchardowi:

— Rób sobie co chcesz, a ja ci klasztoru nie wydam! —

Więc rozgniewany Szwed uderzył z armat do klasztoru, spalił kościół świętej Barbary pod górą zbudowany, a potem odszedł na bok z wojskiem. Korzystali zakonnicy z tego odstąpienia Szwedów, bo sobie ukradkiem ściągnęli więcej ludzi zdolnych do broni, co było jeszcze armat na składzie, to wszystko zatoczyli na mury, a kazawszy het zburzyć i spalić wszystkie budynki, co tylko były za murami klasztoru, żeby się nieprzyjaciel nie miał gdzie ukrywać i zaczajać: oczekiwali spokojnie Milera z wielkiem wojskiem. Jakoż nadeszła wiadomość, że Miler z Wajchardem i innymi, w dziewięć tysięcy wojska ciągnie oblęgać Częstochowę. Jednemu i drugiemu poszła dusza w pięty na taką wiadomość, ale ksiądz Kordecki gromił trwożliwych, a pokładając całą swą nadzieję w Boga-Rodzicy, Królowej polskiej, odprawił uroczyste nabożeństwo z procesją okazałą na około klasztoru i po wałach fortecznych, i przy odgłosie dzwonów święcił armaty, proch, kule i broń wszelką. Właśnie też

pod koniec procesji zaczerniło się pod górą, i oto Miler stanął we wsi Częstochówce.

Jeszcze tego samego dnia poczęli Szwedzi armatami prażyć, więc gracko odstrzeliwano im z klasztoru, a posłom przychodzącym od Milera odpowiedział ksiądz Kordecki, że póty nie będzie się w żadne układy wdawał, jak długo Szwedzi zostaną na klasztornym gruncie. Jakoż na nic poszły wszystkie poselstwa, a bitwa zawiązała się na piękne.

Już trzy dni i trzy noce grają armaty szwedzkie i Jasnogórskie, a łaska Boża widocznie przy naszych, bo szwedzkie strzały nie wiele sprawiają zniszczenia, a Jasnogórscy zapaliwszy sztucznemi ogniami Częstochówkę, wielki sprawili popłoch w szwedzkim obozie. Co Szwedzi sypną granatami i innym ogniem na dachy klasztorne, to nasi wartownicy, na dachach umyślnie postawieni, zaraz to gaszą i zrzucają. A przyczyna Marji Panny także i tu widoczna, bo oto jeden granat odbił się od murów bez szkody, inny szedł prosto na samychże Szwedów, a inny znów padł przy kolebce dziecięcia w klasztorze, a zgasł i nie pękł zupełnie. Strzały zaś oblężonych robią wielkie szkody, a zabiły też jednego Polaka w szwedzkiem wojsku, prawie w chwili, gdy innym żołnierzom Polakom dowodził, że będąc w służbie u Szweda, nie jest grzechem napadać na cudowne miejsce. Wyraźna więc łaska Boża sprzyjała oblężonym.

Nie mało też martwiło to Szweda Milera, co przecież jenerał był nie lada, i niejeden zamek zdobył już w swem życiu. — Czy czart broni tego kurnika, że ja go zdobyć nie mogę? — wołał on heretyk rozjedzony — wszystkich mnichów wygubię, jak muchy.

Ale co tam pogróżki, kiedy mu się szturmy wcale nie wiedły, a ksiądz Kordecki pod opieką Matki Boskiej bronił tak dzielnie klasztoru, że wszystkim oblężonym aż ducha przybywało.

Więc Miler dalejże w świeże układy. Pchnął swojego posła do klasztoru, obiecując, że nikomu nic nie zrobi, i klasztoru obdzierać nie będzie, byle tylko księża szwedzkiego króla swoim panem uznali i stu pięćdziesięciu strzelców na załogę wzięli. Lecz na drugi dzień przyszli do obozu szwedzkiego dwaj zakonnicy, a tak jęli mówić:

— Nam zakonnikom nie godzi się wdawać w spory między królami, nie możemy też łamać przysięgi danej królowi naszemu; a skoro Jan Kazimierz nie przestał być królem, i panowie innego nie obrali, więc my tylko jemu podlegać będziemy, i raczej zginiemy, niż żebyśmy mieli klasztor w wasze ręce oddać.

— Wy sobie żarty stroicie ze mną! — wrzasnął Miler, i oddawszy księży pod straż, wziął się całemi siłami do oblęgania. Daremnie inni przychodzą z klasztoru i upominają się o wydanie posłów, prawiąc, że poseł to rzecz święta: Miler krzyczał, że ich powiesi, i nie wydał. Ale gdy ci odpowiedzieli, że są za ojczyznę i za wiarę na śmierć gotowi, więc puścił ich Szwed do klasztoru, a sam się wziął znowu do strzelania. A przyszło właśnie Milerowi sześć ogromnych armat z Krakowa, więc temi bił w mury i wielkie szkody robił. Atoli oblężeni nie tracili nadziei, a to ich też pokrzepiło nie mało na duchu, że w samą uroczystość Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Panny, zakradł się cichaczem pod mury niejaki Jacenty Brzuchański, mieszczanin częstochowski, i przerzucił do środka list od jednego księdza Paulina z Krakowa, gdzie stało napisano, żeby się klasztor nie poddawał, bo Szwedzi nigdy słowa nie dotrzymują. A gdy się też zakonnicy i od jednego szlachcica przejezdnego dowiedzieli, że sprawa ze Szwedami źle stoi, że hetmani wojska ściągają, i da Bóg przybędą na odsiecz Częstochowie: tak to nie mało pocieszyło walecznych obrońców.

Było to już w grudniu, zima twarda, mrozy trzaskące, ale Miler nie zważając nato stawia działa, tłucze od ranka do nocy, i coraz większe robi w murach szkody. Lecz gdy Szwedzi zaczną dobrze bić, to nasi z murów jeszcze lepiej, kładąc nie mało trupa; a jeden strzał był taki, że kula wpadła do namiotu i zabiła śpiącego w łóżku siostrzeńca Milera, zkąd Szwedowi ogromne było zmartwienie. Więc boleść z tego wypadku rzucała nim jak szalonym, stawiał armaty od wszystkich stron klasztoru i bił bez ustanku z wielką szkodą murów, tak, że ksiądz przeor musiał znowu upominać niektórych, co się bać poczynali, że za Ojczyznę i Najświętszą Pannę powinni być i na śmierć gotowi.

W takiej ciągłej bójce nadeszło Boże narodzenie i wilja. Poczciwy Jacenty Brzuchański podkradł się był znowu pod mury,

aby dać księżom wiadomości z obozu, a przyniósł też biedakom i kilka ryb na wilję, lecz nieszczęśliwy, przypłacił to mękami i strachem niemałym, bo go Szwedzi złapali, i już powiesić chcieli, jeno, że się im jeszcze jakoś wykupił.

W sam dzień Bożego narodzenia, chcąc odbyć spokojnie nabożeństwo, prosił ksiądz przeor Milera o spokój na chwilę. Szwed przyrzekł nie strzelać, ale mu księża nie wierzyli i mieli się na baczności. A patrzcież, tak się stało, jak sobie myśleli. Szwed zdrajca obiecał a nie dotrzymał, i ledwie się nabożeństwo skończyło, uderzył całą siłą. Był to najsilniejszy, ale też już i ostatni napad, a i ten skończył się na niczem. Szwed wygłodzony i wymrożony, a chorobami i armatami klasztornemi wytłuczony, nie miał już chęci i odwagi napadać. Jakoż ze wstydem i hańbą we trzy dni po Bożem Narodzeniu, ustąpił z pod klasztoru i poszedł we trzy strony.

Ileż to radości było między oblężonymi, ile chwały i podziękowań księdzu przeorowi, że tak wszystkich krzepił na duchu, a ileż dziękczynień Bogu i Najświętszej Pannie! A oto cudowna ta obrona Jasnej Góry stała się początkiem i pobudką do gnębienia Szwedów. Panowie widząc, jaka jest silna Pana Boga nad Polską opieka, porzucili swary i zwady, a dalejże się zmawiać, i stanęła umowa w *Tyszowcach*, żeby Szweda bić do nogi gdzie tylko się nawinie. Ci co się w ten sens zmówili, nazwali się konfederacją tyszowiecką, a chwycili się zaraz do dzieła. Wszystkim już ciężyła niepomału ta szwedzka niewola; ochoty więc było dużo i pomocy dosyć, a nawet król dowiedziawszy się o tym związku powrócił do kraju i wziął się też do roboty. Goniono więc teraz dopiero Szwedów natrętów, het na cztery wiatry, wyrzynano załogi po miastach i bito na łeb na szyję.

I dał Bóg wreszcie, że poszły sobie one heretyki z naszej Ziemi, i noga ich nie postała więcej, zaco niech będzie Panu Bogu chwała.

Śpiewka.

Kwiatek zawsze w miejscu stoi,
Ledwo się zachwieje,
Czeka aż go deszcz napoi,
A wietrzyk obwieje.

Kto ma nogi, chodzić może,
I biegać — ze statkiem;
Dziękuję Ci Panie Boże,
Że nie jestem kwiatkiem.

I zwierzęta nogi mają,
Jak nasz kruczek w budzie,
Ale się nie rozmawiają,
Tak jak z ludźmi ludzie.

Bo jak się rozmówić może
Szara gęś z prosięciem?
Dziękuję Ci Panie Boże,
Żem nie jest zwierzęciem.

Jestem człowiek, a nie zwierzę,
Co mówię rozumiem,
Umiem także i pacierze,
I czytać już umiem.

A co starszy, więcej może,
Bo mądrzejszy wiekiem;
Dziękuję Ci Panie Boże,
Że jestem człowiekiem.

W świętej wierze, a nie w innej,
Przy uczciwej pracy,
Kocham Boga, kraj rodzinny,
I tych co swojacy.

Nie jak Moskal, cudzoziemiec,
Co w nas topi noże:
Żem nie Moskal, ni też Niemiec,
Dziękuję Ci Boże!

Nie ukryje się szydło w worku!

Wszyscy jesteśmy ludzie i wszyscyśmy grzesznicy, nikogo nie ma na świecie bez błędu, ale też staraniem naszem powinno być unikać tych błędów, raz dlatego, że przez nie obrażamy Pana Boga Stwórcę naszego, który nam daje wszystko z swej łaski, powtóre, że przez te błędy stajemy się innym ludziom niemiłemi, a po trzecie, że sami sobie przez nie szkodzimy, bo czy prędzej czy później a człowiek odniesie karę za nie.

Próżniak obraża Pana Boga, bo mu dał zdrowie i zdolność do pracy, a jemu się nie chce robić i marnuje czas i siły, ludziom którzy go przyjmują do roboty robi zawód, a sobie też szkodzi, bo jak się jeden i drugi przekona że leń, to go nikt nie weźmie ani do służby, ani na wyrobek.

Pijak jeszcze gorszy, bo stworzony na obraz i podobieństwo Boże tarza się w kałużach, wyciera pod ławami, a często kończy żywot jak ów Franek, o którym pisaliśmy, bez pociech re-

ligijnych, bez opatrzenia na drogę wieczności, ludzie nim się brzydzą, dzieci wydrzyźniają się kiedy pijany idąc z karczmy zagania kaczki po drodze, sobie szkodzi, bo niszczy zdrowie i zalewa rozum, a najczęściej wychodzi na dziada i od wsi do wsi łażąc z torbą, co otrzyma z miłosierdzia bliźnich niesie do szynku.

I tak żaden błąd na dobre nie wyjdzie, tembardziej też występek, bo prócz tego pociąga jeszcze za sobą karę srogą, którą prawo naznacza, a kara ta sprawiedliwa i potrzebna, bo gdyby prawa nie było, to niktby nie był pewny swego i pracowałby na zbrodniarzy.

Złe nigdy się nie utai i zawsze na wierzch wychodzi, i choćby tam nie wiem jak zbrodniarz się taił, *szydło z worka wylezie.*

Ze wszystkich występków najczęściej między ludźmi trafia się kradzież.

Nie mówię ja tu o kradzieżach koni, bydła, bo na to już czychają złodzieje z rzemiosła, ale o tych drobnych porywaniach, które się codzień przytrafiają po wsiach. Jeden drugiemu udrze kawał płotu, wypasie zboże, poszkoduje owoc, ukopie ziemniaków. Wszystko zdaje się to rzecz mała, ale czy kto weźmie mało czy wiele, zawsze jest złodziejem, bo siódme przykazanie Boskie mówi: *nie kradnij.*

Są tacy znowu co nie mają sobie za grzech ściągnąć drzewinkę z dworskiego lasu, uciąć w dworskim sadzie szczepek na biczysko, naciąć płachtę koniczyny, albo nocą wpędzić dobytek w dziedzicowe zboże, a jak mu kto co mowi to powiada: — O! straszne tam rzeczy ten szczepek, albo drzewinka! Czy to na panu będzie znać że się ubogi pożywi? — Czy znać będzie czy nie, to nie wiadomo, bo nikt w niczyjej kieszeni nie siedzi. Nie jeden pan wydaje się z pozoru bogatym a biedniejszy od chłopa, bo po uszy obdłużony a wielkie ma wydatki. Kto ubogi a chce się pożywić, niech prosi, to dostanie, a niech nie rusza cudzego, bo siódme przykazanie Boskie mówi: *nie kradnij.*

Ileż to szkody nie mają ludzie przez kradzieże: nie jeden gospodarz trzeźwy, pracowity, morduje się żeby pole dobrze sprawić, obsiać, zbronować, nazgina się przy żniwie że aż

w krzyżach trzeszczy, naokopuje się ziemniaków, przyjdzie jesień, raduje się że będzie miał pożywienie dla siebie i dla dzieci na zimę: aż ci przyjdzie złodziej i wykradnie z komory! Mrzyj potem z głodu, a on nie pracując hula za twoją krwawą pracę. Drugi znów goni za onym zarobkiem, śpieszy się w domu z robotą żeby jak najwięcej czasu zostało do najmu, przez żniwa pracuje jak wół, wreszcie uzbiera kilkadziesiąt złotych i cieszy się że sobie albo żonie kupi kożuch i buty na zimę: aż ci przyjdzie złodziej wyłamie skrzynkę, i zabierze krwawo zapracowany grosz! Chuchaj potem w palce, a on za twoje pieniądze pije i wyśmiewa się jeszcze z ciebie. Dlatego nie należy nigdy złodziejowi przepuszczać, ani go zakrywać, ale schwycić i zaprowadzić do sołtysa, żeby się nie pasł ludzką krzywdą, ale jak drudzy pracował; dlatego trzeba dziatki pilnie posyłać na katechizm do księdza dobrodzieja, aby się od małości uczyły przykazań Bożych i onych nie przestępowały.

Najgorszy ze wszystkich złodziej domowy. Najprędzej znajdzie on sposobność do kradzieży, i trudno się przed nim ustrzedz, bo zna wszystkie schowania i wie dobrze gdzie co leży. Ale przecież czy prędzej czy później wydać się musi, bo się szydło w worku nie utai.

Mieliśmy tu właśnie w tamten tydzień śmieszną historję z Walkiem parobkiem co służy u Pawła, najpierwszego gospodarza naszej wsi.

Otóż Paweł składał sobie grosz do grosza z najmu, aby miał czem podatek opłacić, a że nie chciał zbiorów się pozbywać za byle co, więc sobie zbierał i gdzie mógł wymieniał gotowe pieniądze. Tymczasem raz kiedy przyniósł znowu cztery złote dołożyć do dawnych, zdało mu się że pieniądze poruszone, policzył je i zmiarkował, że brakuje czterdzieści groszy. Zastanowiło to Pawła, ale myśli sobie: Ha, kto wie, możem źle rachował, policzył więc wszystkie na nowo, zapisał na wieki i zamknął skrzynię.

W niedzielę wyjął Paweł z kieszeni pieniądze, które wziął za tydzień ze dworu, za siebie, brata i dwóch parobków, było tego dwadzieścia cztery złote, liczy, a tu brakuje dwudziestu groszy. Zafrasował się w myśli, czy też nie zgubił; pobiegł

potem do skrzynki i tam brakowało złotówki. Poznał Paweł że mu ktoś dobiera się do skrzynki i ostro powstał na czeladź, wszyscy się wypierali, ale Walek najbardziej; klął się żeby go pioruny zatrzasły, żeby jasności Boskiej nie oglądał, jeżeli dotknął pieniędzy Pawła.

Paweł nic nie mówił tylko uważał pilnie, ale niczego dostrzedz nie mógł; a wczoraj ledwie że wyszedł na chwilkę do sąsiada, znów mu brakło dwie dziesiątki. Zwołał więc całą czeladź i począł okrutnie hałasować, i Bóg wie jakby było wypadło, bo nie wiedział kogo posądzać, ale szczęściem nadszedł sąsiad Goralczyk. Skoro ten wysłuchał Pawła, rzekł mu: — Nie turbujcie się kochany sąsiedzie, my tu wnet bez hałasu wynajdziemy złodzieja choć by się pod ziemię skrył, dajcie jeno garnek nowy i każcie rozpalić ogień na kominie z jałowcowych gałęzi. — Pawłowa posłała dziewkę, ta przyniosła jałowcu i zapaliła ogień.

Wszyscy patrzyli się z ciekawością; tymczasem Goralczyk wziął smolnych szczyp, rzucił na ogień, wrzucił trochę bylicy, i garnek obracał nad ogniem, a ciągle coś szeptał. Potem garnek ten odjąwszy z ognia pokazał wszystkim i rzekł do czeladzi: — Przypatrzcie się garnkowi jako jest czarny i okopciały, stawiam go w komorze, niechaj każdy pociągnie po nim rękami od góry do dołu, złodziej będzie miał ręce czarne jak sadze, a kto niewinny rąk nie zwala ani krzty, już ja mam na to taki czarodziejski sposób.

Poszli potem z gospodarzem do komory i zabili okno deseczką; wpuścili Walka i Szymka parobków, Magdę dziewkę, a potem nawet Franka, brata gospodarzowego, żeby wszyscy pod jednem prawem byli. Po chwili Goralczyk woła: — Magda!

Dziewka wychodzi z komory i pokazuje ręce, a tu czarne jak smoła. Pawłowa mówi: — Widzicie to ta niegodziwa kradnie. Goralczyk mrugnął na gospodynię żeby umilkła, potem woła: — Szymek! Szymek wchodzi do izby, ręce czarne, Pawłowa kręci głową. Franek! wychodź! — krzyknie Goralczyk, Franek włazi, ręce czarne. Co u kaduka, myśli Pawłowa, czy oni wszyscy kradli? Wnet zawoła Goralczyk: Walek! — pokaż ręce! Walek wychodzi z komory i pokazuje czyste ręce. On ukradł krzyknie

Goralczyk! pokażcie wszyscy ręce! wszyscy mieli ręce posmolone sadzami, a Walek czyściuteńkie. — Przyznaj się, mówi mu ostro Goralczyk, bo cię porwisiu oddam do sołtysa i pójdziesz do Chęcin. Zląkł się Walek, zbladł jak chusta i przyznał się że on gwoździem skrzynię otwierał, i wziął gospodarzowi dziewięć złotych różnemi czasami, ale obiecywał odsłużyć.

— Ani twojej usługi nie chcę, ani ciebie dłużej trzymać nie będę. Porwisiu niegodziwy! — krzyknie Paweł — zabieraj rzeczy i idź z Bogiem, a dziękuj Bogu że ci ten raz ujdzie na sucho, bo mógłbyś posiedzieć kilka miesięcy, tyle twego szczęścia żeś się przyznał.

— Ale jakżeście wy czarowali mój Kazimierzu — rzeknie Pawłowa do Goralczyka — kiedy na opak się stało jak miało być; przeciem na własne uszy słyszała, że złodziej miał mieć ręce posmolone a niewinni czyste; tu się stało przeciwnie.

— Nie były to żadne czary — odpowie Kazimierz — bo czarów na świecie nie ma, tylko zaszedłem z mańki tego co ukradł, bo inaczej nie byłoby się wydało. Dla większego otumanienia udawałem że to czarodziejski sposób, bo by i Walek nie dał się złapać. Otóż widzicie moja gosposiu, że Magda, Franek i Szymek mieli czyste sumienie, więc się nie bali tknąć garnka, a Walek że ukradł, to go się nie dotknął, żeby się udać za niewinnego i tym sposobem wydała się jego kradzież.

— Co tam za sposób taki? — zawoła Pawłowa.

— Ho, bo stary nie z jednego pieca chleb jadał — rzeknie Paweł — Bóg wam zapłać kochany Kazimierzu.

— Za mało mój bracie — odpowie Góralczyk — a ty Walku masz naukę, żebyś poznał brzydkie złodziejstwo i nie łakomił się na cudzy grosz; idź do spowiedzi, wyznaj grzechy i proś Pana Boga żeby ci odpuścił i łaską swoją przenajświętszą na dobrą drogę wyprowadził, a pamiętaj że jako *nie ukryje się szydło w worku,* tak też i każdy występek się wyda.

Pogadanka w Wąwrowicach.

O szkłach powiększających.

Stary Antoni skończywszy cudowną rzecz o jajku i o tem jak się to z niego pisklątko wykłuwa‘ dumał chwilkęw cichości,

a potem tak jął prawić o innych ciekawych rzeczach, co ludzie wypatrzyli przez szkła powiększające:

A innych rzeczy, ileż to nie naoglądano przez szkła takie, a wszystko, co ludzie widzieli, dowodzi tylko nieskończonej mądrości Boskiej a dokładności najmniejszego stworzenia i stworzonej rzeczy.

Weźmy listek z jakiego bądź drzewa. Patrząc na niego przez taki mikroskop, ileż tam regularności! Żyłki tak powiązane równiuteńko, tworzą najpiękniejszą siateczkę, a w niej najokrąglejsze kuleczki, otworeczki, których tak okiem patrząc nic a nic nie dojrzysz. Liście, to tak jak płuca w człowieku; drzewo niemi oddycha; dla przyjęcia też to powietrza widać najmędrszy Pan Jezus takie dziureczki równiuteńkie pourządzał, bo także się wszystkowiedzącemu Stwórcy potrzebne widziały.

A gdybyśmy znów popatrzeli na najbardziej wygładzoną rzecz, na ten przykład, na marmur wypolerowany. Wypolerowanie czyli wygładzenie to ludzka robota, więc już niedokładność. Toć masz doły, dziury, że zdaje się, żebyś nogą na takiej grudzie postąpić nie potrafił, gdy to tymczasem najgładszy, najpiękniej wymuskany kamień.

Wzięto dalej kropelkę wody, naprzykład deszczówki. Chryste Panie! Co ci tam robactwa małego, dużego, tobyś ani zliczył w jednej kropelce wody. Zdaje się to być nie do wierzenia, a jednak tak jest rzeczywiście, bo uczeni ludzie to nawet znają i nazywają ono robactwo *wymoczkami*, a zwierzątka te może widzieć każdy, ale tylko przez szkła bardzo powiększające. A to takiej biedzie i napatrzeć się rozrywka. Są one większe i mniejsze. Wszystko się rusza, łazi, jedne na nóżkach, drugie się czołgają jak węże itd. Mocniejsze gonią za słabszemi, pożerają je, połykają; małe się bronią. Słowem, świat tam drugi we wody kropelce. Po co tyle robactwa w tej wodzie, bez której by człek żyć nie potrafił, tego nikt nie odgadnie, bo głupieje myśl i najmędrszego, kiedy się nad stworzeniem Boskiem zastanawiać pocznie. Tak widać najlepiej, kiedy tak najlepszy Pan postanowił; a woda choć z tem robactwem na szkodę nam nie wychodzi. Jeden Bóg to wie, co te i tyle innych cudów zdziałał na okazanie potęgi swojej. Chwalmy Jego imię po wszystkie wieki! korzmy się przed Jego nieogarnioną mądrością! dziękujmy mu za to wszystko co stworzył, i za to, że nam dał ten Pan duszę i rozum, którym potęgę Jego ile nam dozwolono, poznawać możemy.

Owoż przez podobne to szkła, choć znów inaczej urządzone, patrzeli mądrzy a ciekawi na miesiączek. Najprzód szu-

kali tam tego chłopa, co to za karę, że w święto gnój wyrzucał, na miesiączku na pokucie miał być posadzony. Nie znaleźli chłopa; chłop pewno w piekle po uszy za zgwałcenie święta pokutuje. Przekonali się atoli, że te plamy na księżycu co je widać, to są niby nasze chmury, co się raz tak, drugi raz inak pokazują i najrozmaiciej zmieniają. Tak jest! Ale to nic! bo dziś uczeni ludzie to znają miesiączek jak na dłoni; choć tam nie byli, ale tak wszystko wypatrzyli. Znają na miesiączku góry i doliny; wiedzą jak wysoka która góra, jak obszerna dolina; dlaczego księżyc raz widać, kiedy indziej nie, to oddawna mówili; bo jużci kiedy słoneczko oświeci miesiączka toć go i widać będzie; kiedy nieoświecony, toć go zaciemnionego nie zobaczysz, a tyle go zobaczysz, ile go jest oświeconego i jasnego. Mówią, że księżyc sam okrągły niby jabłko a caluteńki jest tylko jednolitą skałą, a niektórzy ciekawsi jeszcze mieli dopatrzeć, że w miesiączku taka na wskróś dziura jak w kole młyńskiem, tak że przez tę dziurę na drugą stronę przejrzeć można; ba nawet zaręczają, że podczas całkowitego zaćmienia słońca, co wtedy bywa, gdy miesiączek nam słonko zupełnie zakryje, to oni tą dziurką w księżycu słoneczko widzieli; choćby nie powinni byli widzieć, kiedy zasłonione było. Naturalnie patrzeli oni przez swoje szkła.

No patrzcież się, co to ci ludzie nie wymyślą, i choćbyśmy im ta jeszcze zupełnie nie wierzyli, że nasz piękny miesiączek dziurawy; toć to prawda, że ludzie przez szkła powiększające tyle naoglądali rzeczy, o których pierwej ani się śniło człekowi, kiedy szkieł takich nie było. O! ileż to podobnych rzeczy mówią ci mądrzy! my, co nie znamy ich nauki, nigdy ich mowie nie uwierzymy. Starajmyż się, aby choć dzieci nasze mogły wierzyć oczywistej prawdzie, a poznawały lepiej niż my Stwórcę naszego i Pana, i godniej od nas czciły i wielbiły tego, którego świat i tak nigdy pojąć i zrozumieć nie zdoła.

(u Klimka na łanach.)

RÓŻNOŚCI.

O zacnej pani i o dziewczętach w Witkowicach. Już dzięki Panu Jezusowi lud nasz poznaje, ile to pociechy i chwały ztąd wynika, gdy się dobrą szkółkę we wsi urządzi. Lecz nie wszędzie można było dotąd zrobić tak, jakbyśmy sobie życzyli: z początku toć to i łożyć trzeba na wybudowanie pomieszkania i na utrzymanie nauczyciela. W niektórych miejscach znaleźli się dobrodzieje niekoniecznie panowie, bo wiecie, że

byli i są gospodarze wiejscy, wieśniacy, co o szkółce staranie mają. Zato im niech będzie podziękowanie teraz i na wieki.

Gdzie zaś takich dobrodziejów nie ma, muszą ojcowie sami myśleć o założeniu szkółki, a czas też ku temu, boć to i wstyd gminie, która w tyle za innemi została, a nie dba o wychowanie swoich dzieci.

Jeden mądry człek przed laty przechodził przez wieś i widział piękne gospodarstwo włościan: czyste bydełko, piękne koniki, wypasłe prosiaki, bo dobrze się mieli wieśniacy. Podobało się to każdemu, bo piękna chudoba o pilnym i pracowitym gospodarzu świadczy. Ale widział ten sam mędrzec nieskromne, bose i zamurdzane dzieci, które to piękne bydełko na trawę wyganiały. Pyta tedy ten mądry:

— Umiecie wy też chłopczyki Pana Boga chwalić? a wiecie też, kto was stworzył? macie wy też tu szkółkę we wsi? a umiecie wy czytać na książce?

Chłopcy ani *be* ani *me*; tyle tylko odpowiedzieli, że szkółki we wsi nie mają.

— No! wiecie wy — rzecze ten mądry — tobym ja tu we wsi wolał być prosięciem, niźli synem jednego z tych gospodarzy; bo tu widzę o prosięta większe staranie mają, niż o własne dzieci.

Co się ta robiło gospodarzom, gdy się o tej mowie mądrego człeka wywiedzieli, osądźcie sami; a nie każdy chciał być potem do tych głupich choć pracowitych podobnym.

Ale mi się tu co innego pisze, niż powiedzieć chciałem; lecz i to wiedzieć nie zawadzi. Ludzie uczeni a rzetelni płaczą nad ciemnością gospodarzy i zaślepieniem tych, co jeszcze dzieci swoich uczyć nie dają, nie dbając o własną korzyść doczesną i wieczną.

Pani we wsi w Witkowicach namawiała włościan i to jeszcze łońskiego roku, żeby się jako zebrać a myśleć o sobie, o swoich dzieciach i o duszy swojej. Lecz wieśniacy jak wieśniacy nie skorzy chodzić i łożyć na takie rzeczy, z których oczywista korzyść. Tak-ci sama pani nuż zwoływać do siebie dziewczątka wiejskie; choć ta i chłopaki nic nie umieją, tylko że z chłopakami zuchwałemi toby ta pani nie była doszła końca.

Rozpłakałbyś się człeku z radości, bo i mnie łzy w oczach stanęły, gdym patrzał na dziewczątka we dworze. Czyste koszulki czerwoną stążeczką zawiązane pod szyją, główki uczesane piękniuteńko, że radość patrzeć. Tak pani przyzwyczajała do porządku i czystości. Dobre to będą kiedyś wieśniaczki a żony i gospodynie, jak się tak z maleńkości do wszystkiego dobrego wprawią. Jedna szyła czyściuteńko spodniczkę dla siebie; druga koszulkę, ale tak pięknie, żebyś myślał, iż taka koszulka to chyba gdzie w wielkiem mieście uszyta na ten przykład w Krakowie; a to ci ta dziewczynka mała, Marysia Majówna jej na imię, tak porządniuteńko koszulkę dla siebie na niedzielę uszyła. Inna znów czytała a potem miała pani to samo opowiedzieć; a znów jedna rachowała groch, bo utnij szyję palców sobie porachować nie umie. Jeźli będzie taki nieuk, no to już trudno myśleć z nią o książce; nauczy się Boga chwalić, być porządną, uczciwą a pracowitą, a i to rzecz nie mała. Pilne czytają tam jak starzy. Maleńka pani córeczka: Jadzia, uczyła się razem z dziewczątkami i robiła właśnie piękniuteńko siateczkę na drutach.

Raj to nie ziemia był w tych miłych Witkowicach! Aż oto Pan Bóg dotknął wielką boleścią mieszkańców Witkowic; chciał widać Najwyższy przekonać się czy ludzie i dalej tak uczciwie sobie postępować będą, bo zabrał do siebie tę bogobojną i cnotliwą panię. Dnia 15

zeszłego miesiąca, umarła ona Dobrodziejka i prawdziwa matka dziewcząt gromadzkich, wpośród płaczu i smutku caluteńkiej wsi, a co najbardziej, owych wychowanych przez nią dziewczątek. Mówcież pacierz za nią włościanie witkowscy: pokój jej duszy! A jeźli chcecie uczcić jak się należy jej świętą pamięć, to prowadźcie dalej w bogobojności i cnotach swoje dzieci, starajcie się o szkółkę i o nauczyciela do swej wsi, a to wam będzie zawsze przypominać zgasłą waszą panię. Weźcie się do tej pracy, a Bóg wam dopomagaj!

Piękna ryba. Raz za onych czasów, kiedy Tatarzy najeżdżali często na Polskę, łupili, palili i w niewolę lud pędzili, stał jeden żołnierz polski na czatach daleko od swoich, w pustem miejscu nad rzeką, aby tam pilnował i uważał dobrze, czy zkąd nie widać Tatarów. Stoi on żołnierz stoi, to przejeżdża się zwolna na koniu, słońce go piekło, nic nie było widać nigdzie, a choć nadstawiał uszu, to nic nie słyszał, tylko gdzie świerszcza w trawie, albo ptaka zdaleka. Sprzykrzyło mu się setnie tak cały dzień Boży stać i stać, zmówił sobie już wszystkie modlitwy co umiał, ziewnął raz i drugi i wpatrzył się z nudów w wodę rzeki. I jak się zaczął przypatrywać, zobaczył ryby jak się pluskały: to jedna to druga goniła za robaczkiem, to na wierzch się wysunęła, to poszła spodem. Te rybie zabawy podobały się żołnierzowi, pochylił się z konia i patrzył w wodę. Ta i zebrała go pokusa zleść i zrobić wędkę na ryby. Strach ci też był i złazić, bo nie wolno było pod wielką karą na czatach schodzić ze stanowiska, broń Boże zasnąć, a dopieroż ryby łapać. Rzecz była niedarowana; jeszcze na takiem ważnem miejscu, gdzie Tatary nie daleko. Ale licho jak zaczęło kusić naszego wojaka, takci go i skusiło. Pierwszy raz w życiu zrobił to co nie wolno było: złazł z konia, a owinąwszy uzdę koło ręki, dalejże za sznurkiem po kieszeni. Znalazł sznurek i żelaza odrobinę, a wyciągłszy zrobił wędkę i siada sobie na brzegu. Ale że diabeł nie spi, więc tu ryby łapie, a tu słucha i konia nie puszcza; więc słucha czujnie, a ogląda się bystro, a ryby łapie. Aż tu od lasu szmer, dalej szum — nasz czujny wojak jednym skokiem na koniu a wędkę na plecy. Patrzy, tuman się zakurzył, kilkudziesięciu Tatarów pędzi od lasu, starszy na przedzie, a sadzą jak diabli. Zobaczyli polskiego żołnierza na czacie, wrzaśli strasznie i prosto na niego. Nasz zuch jak się nie zwinie między nimi, przeżegnał się w duchu, szast jednego, szast drugiego po łbach, oni go ranią strzałami i wkoło wzięli, trupem położył kilkunastu, ale za dużo było na jednego, widzi że szkoda dać życie poganom, więc jak się nie zwinie jeszcze raz, a tu wędka uczepiona wisi mu przez plecy. Niewiele myśląc porwie za wędkę, i jak nie zakręci po nad głową starszemu, złapał go i ściągnął, i dalej z tą rybą w nogi. Koń pomknął jak strzała, Tatarzy za nim, pędzą, lecą a wrzeszczą. Tymczasem polskie wojsko zdaleka się pokazało, i Tatarzy musieli uciekać. Dzielny zuch ze swoją rybą stanął przed pułkownikiem, aż zdumieli się wszyscy. Krew po nim ciekła zmieszana z potem i kurzem, koń ledwie dychał, a starszy tatarski wił się na wędce. Sam się on zuch oskarżył że na czatach ryby łapał, ale już za taką piękną rybę, to mu darowali tę ciężką przewinę.

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.